

A teraz coś z zupełnie innej beczki...



Był piękny wrześnieowy ranek. Tak można by zacząć, gdyby nie było inaczej... Ziarno przyjechał, tak jak się umówiliśmy. Nie chciał spóźnić się nawet o jedną, małą Minutkę. [pozdrowienia dla Minutki ;-)] Co było robić? Zszedłem do samochodu powłócząc, niedopita kawa, oświetlona nocną lampką, pozostała na biurku,. O takiej godzinie to na ryby, marudziłem. Na zewnątrz jutrznia – mrok i ziąb. Wszedłem do „szerszenia”, zapiąłem pas, i w drogę. Jednym okiem spałem, drugie rosło do monstrualnych rozmiarów na wspomnienie

poprzednich nurkowań TAM. Niech TAM zostanie na użytek tej relacji bliżej niedookreślone, z uwagi na jego status jego prawny, a raczej bezprawny. Podróż minęła szybko, co zwykle ma miejsce, kiedy hamulców w jednakowym stopniu pozbawiany jest samochód i kierowca. I oto obu oczom, już rozbudzonym, ukazali się wędkarze. To nigdy nie wróży niczego dobrego. Rzucanie kamieniami w miejsce bąbli na powierzchni, groźenie pobiciem za wprowadzanie w stan głębokiego szoku ich ryb w ich jeziorze, to tylko niektóre, mniej drastyczne przykłady

z repertuaru zachowań tej subkultury. Swoją drogą ciekawy jestem na kogo głosują. Może to oni? Popatrzyliśmy z Ziarem na siebie znacząco... Będą kłopoty. Były, a jakże, ale nie większe niż zwykle. Po kolei. Samochód stoczony na luzie, szpejenie za krzakiem i temu podobne działania miały zapewnić powodzenie akcji. A ta zaplanowana była jak dobry dramat, w którym jeśli w pierwszym akcie ktoś pakuje pas balastowy, to można być pewnym, że w ostatnim zapomni go ubrać. „Poczekaj, poczekaj, awaria”. Michał wybiegł z wody,



ubrał się we wszystko, co przyzwoity płetwonurek mieć powinien i po trzech chwilach wrócił. Te nieprzewidziane operacje zaowocowały tym, że zauważeni zostaliśmy przez wszystkich, przed którymi chcieliśmy się ukryć. Cała TAMTEJSZA brać wędkarska szeptała „taaak, to znowu oni...”. No to chlup. Wszystkie troski pozostały ponad nami. W przeciwieństwie do górolazów różnej maści, nie dane nam było myśleć o „świecie u naszych stóp”. Schodziliśmy na samo jego dno. A tam tylko pukanie od spodu. Industrialna,



podwodna sceneria zalanego wyrobiska wapiennego w którym pływaliliśmy, dostarcza innych wrażeń, niż te z szuwarów. Pionowe ściany schodzące do ponad 30 metrów, pozostawione wyposażenie techniczne, zatopiony samochód, że o drzewach i grocie nie wspomnę, to niektóre atrakcje. Po raz kolejny byłem pod ogromnym wrażeniem tego miejsca. Ciekawe zestawienia barw – biel wapienia i zieleń podwodnej roślinności, ryby pływające wśród drzew i tablica „zakaz wstępu” dopełniły szczęście, które to kończy się szybko, jak ogólnie wiadomo. Po wyjściu

okazało się, że już na nas czekali. Komitet powitalny w składzie: Pan Wędkarz – sztuk 1, Pan Strażnik Przemysłowy – sztuk 2. Pan Wędkarz – konfident, rozpląnął się pod wpływem nienawistnych spojrzeń. A strażnicy? Cóż, znowu sprawdziła się metoda „na papugę” – gadaj

długo i bez sensu. Po raz kolejny obiecaliśmy, że to już ostatni raz. Pożegnaliśmy się słowami „do widzenia”.

Maja